

WZDRAŻLIWY

NUMER

- Jan Wiktor. Krzyż Miasta (Nowela).
 - Julian Przyboś. Wóz. (Wiersz).
 - Jan Brzękowski. Sztuka Ozenfanta.
 - Leopold Lewin. Wyrąb lasu. (Wiersz).
 - Ludwik Fryde. Wiersz o poddaszu.
 - Witold Zechenter. Baśń o polskim PEN-clubie.
 - Janina Brzostowska. Tęcza nad sercem.
- Od Wydawnictwa. Nowe książki. Na marginesie. Turniej. Korespondencja i t. d.



WZDRAŻLIWY

No 9 (33)

WARSZAWA, 1 — 15 maja 1929 r.

Rok II

JAN WIKTOR

KRZYŻ + MIASTA

Huk maszyn w szalonym rytmie pędu.
Łoskot pracy.
Wir obłędnego ruchu.
Świat, walony stępami odgłosów, stękał wy-
czarpany. Jego zrąb od podwalin po szczyt, jego
wiązania dachu, dygotały niby dom spróchniały,
wstrząsany utajoną burzą, pogrzebaną w podzie-
miach.

I tego dnia wyteżonej pracy zagrzynał huk—
niby bomba rzucona pod przycięś życia.

Nagły świst rozdarł niebo niby szmatę. Ko-
miny trzasnęły bitem gwizdu, aż im echo z wy-
żyn odpowiedziało.

Słońcu maszynista ziemski dawał znać, aby
rozświeciło się jaśniej.

Ale na niebie gęstniał dym wszystkich fabryk,
wyziew czarny nienawiści wszystkich piersi.

I słońce w sadzach, osmolone, podobne do
twarzy spracowanego robociaza, który rękawem
chmury chce otrzeć znój, skapujący złotem stru-
mykami.

Na sygnał syren warkot pracy ustawał. Tur-
kot nerwowy, hamowany rozkazem, coraz bar-
dziej urywany, słabł, dyszał, sapał, robił bokami
niby człowiek ponad siły umęczony, który leży na
kamieniach.

Skonał w dreszczach i dygotach.

Serce maszyn uwikłane w pasach, transmi-
sjach, przestało żyć. Ogień bezsilnie jarzył się w
piersiach pieców, chlustał różowym blaskiem na
ściany, bezsilnymi westchnieniami uderzał szyby,
chcąc wylecieć w świat.

I gasł, pogrzebany popiołem własnych
płomieni.

W martwość ciszy spłynęła krew pracy z
umęczonych żelaznych mięśni.

Na kołach rozpędowych, na walcach, dźwig-
niach wyslizganych polśniewał zimny połysk jak-
by to na nich zastygł pot ludzki rozmazany rękami
trudu i mordęgi od świtu do nocy.

W pustce bezruchu czarne słupy pomęcz-
onych ludzi. Głowa opadła, ręce zwisały, jakby
przed chwilą wypuściły ciężar głazów.

Latarnie ocz, zakopane długowieczną sadzą,
zapalały się nowym życiem.

Baterie spojrzeń wystrzeliły salwami —
Dziś!!!

Grzbiety dźwigały się, prostowały. Ręce po-
tężnie wyciągnięte groźnie potrząsły widmom
wspomnień.

Czarne bryły robociarskiej doli stały niby
żywe złomy węgla, wydarte podziemiom, chowa-
jące w osierdziu dynamit i ogień... i płomień co
zapala

Świt nowego dnia —
Stali chwilę z rozmiotaną zagwiałą w śle-
piach — — —

Przez ciemne korytarze i hale krzyk wszyst-
kich piersi, wszystkich kamieni, kominów i ma-
szyn.

Strejk!!!

Brzmiał wstrząsającą mocą krzyk! Pozew
rzucony ustami zemsty, pozywający na sąd...

— Krzyk z piersi wstrząśniętych mocą.
Rozkaz dzienny: Rewolucja! Walka!

Jedna wieść, jeden wyraz, cień płomienisty,
rzucony na ekran niebios.

— Zapłata!!! Odwet!!!

Rozkołysany dzwon na alarm w lunach miljo-
nem serc uderzył.

— Bunt przeciw świętej Krzywdzie!!!
Niebo robociarz okrawiony wschodem i za-
chodem na ziemię zeszło czerwony płatk w-
wiesiło.

W dymach, w pożdże tłumy.
Na oczach i na ustach napis krwi nocy i ro-

bocznych dni kreślony — jak na transparentach
z piekieł.

— Nędza!

— Bezimienni.

Rozwarły się bramy żelazne — woła tysięcy
pchnięte...

Dał ulic wąskich.

Ścieżki w przyszłość.

Stukot kroków na trotuarze.

Stukot serc w piersiach.

Spojrzenia w przestrzeń dni niby oślepiające
smugi lamp elektrycznych.

Szli.

Nieprzejrzany tłum.

Wszystkie dni, miliony godzin, w fartuchach,
okopiałe, przepalone, ociekające potem.

Kajdaniarski pochód.

— Wszawie syny, wytrzesione z pod brudnej
koszuli ludzkiej sprawiedliwości.

— Ciała wyszorowane przez pot.

— Mordy i pyski obite przez pogardę.

— Hołota skopana świętą wolą wyzysku.

— Banda oderwana od skały krzywdy pod-
pierającej boskie dzieło życia.

— Obląkańcy w nienawiści.

— Zgraja zbuntowanych.

— Wychudły głód.

— Znój.

— Krew.

— Jęk.

A za pazuchą każdy z nich mauzery groźnych

przekleństw

W słowach pięści zaciśnięte

W sercach salwy.

— Myśli shartowaliśmy.

— Serca przekuliśmy.

— I serca nasze jak stal niezłomna, jak
ostrze toporu.

— Rąbać będziemy mściwem sercem jak to-
porem.

— Ogień przyszłości w nas.

— Płomienie wybuchów dynamitowych.

Ogień ten pod zwalisko przeszłości ciskamy.
Sztandar śpiewu łopotał w wichrach, grzmo-
tach i błyskawicach.

Zrywali słowa z burz, z gromów, z błyskawic.
Bomby okrzyków padały na bruk.

Łoskot, strumienie płomieni słupami znaczy-
ły drogę.

Głos wybuchów w kurzawie jak róża ognista
dymem owiana.

Ziemia drży — — Lży i pot wsiądkły puls-
ją — — Dynamit w głąb ziemi rzucony.

Idą na zgładę krzywdy.
Zemsta za krew, zemsta za lzy.

Po echach pieśni poszli.
Na kamiennych płytach stukot w purpurę
pieśni spowity.

Rytm kroków poszarpany, twardy, mocny,
niezłomny, ciosami młotów wzburzonej krwi mie-
rzony...

łoskoty kroków niosących w zana-
drzu nawalnicę grom przekleństwa.

Szli w grzmocie zdobywczycych serc.

— Pobudka bohatera na walkę.

— Chleba zwycięstwa...!..!

W domach wyzysku, przepychu, bogactw,
przy rozchwilanych trwogą ścianach, drzące, po-
kurczone cienie dawnego życia.

Strach knutem prał
Pokryte po kątach blade, roztrzęsione widma
wczorajszych dni...

wśluchane w słowo wstrząsające
światem:

— Zemsta —

Ostatnia chwila zagrziała i
tysiącem kul godziło w serce pobladłe.

— Przeszłość i krzywda pod mur.

Pierś wzdęta szlochom i żebaniem
Cios za ciosem. — Nasz kres.

Z tysiąca ran tysiące strumyków słów wycie-
kało —

— Ratunku! ratunku!
Każde słowo wydmuchane strachem.

Westchnienie trzepotliwe z nor posiniąłych
ust jak myszki małe z ciemności...

— Och — och — co my zrobimy.

Przerażenie rzucało grobowe płyty w dół ich
życia.

Przez szparki ciasnej nadziei, struchlałe oczy
z mroku patrzą na morze gniewu, walące bałwa-
nami w grobelkę piaszczystą zbiegających modlitw.

Sypie się piach słów...

— Ach... ach... rozniosą... pyłu nie zostanie...

Groza chwyciła garścią chamską za grdykę,
przytłoczyła kolanem, ślepią na wierzech wywaliła.

— Boże zlituj się nad nami i tamtych zbro-
dniarzy idących ku nam pokaraj w swej wielkiej
laskawości.

Kolbami w pysk. Okna drżą.

Dygocą żebra murów.

Serca w ogłuchłych piersiach trzepocą.

W kruchą ścianę uderzył piorun dzierzony w
pięściach milionów.

Krzyk jego utopił sztylet w piersiach prze-
rażonych i zakrwawił jękom usta.

JULIAN PRZYBOS

Z WIECZORU AUTORSKIEGO

WÓZ

Okolica wymknie się w mowie,
jeśli dróg nie okoli mozoł.
Dwie szyny położone na progach:
dwie wargi na zrównanych zdaniach,
oddechy: konie parowe.

Zamiast słów użyję wozu.

Wprzęgnąwszy rampy, na obciążonych nogach
idziecie, przysiadając, po kraniec.
W stawach kości dźwigacie nowe kamienne stacje
pod niebo, nie wyższe od waszych podniesionych oczu.
Nasyp narósł garbem, niesionym przez was, którzy
jesteście miejscem pośpiesznym.
Uziemieni w czeluściach pracy
tunelem zbliżacie odległości, stworzone z kroczeń.
Zmęczeni horyzontem, budowniczości podróży,
kładąc się na spoczynek ze zmierzchem,
skraccacie zdobytą przestrzeń do własnego wzrostu:
ciała bez cienia granic. I,
stanąwszy na swej woli, przez piersi sklepiony most
jedziecie okólną mową, gdy

Na skrzyżowaniu torów czuwam zwrotniczy ust
i z zębów, jak dymiący papieros, wypuszczam parowóz.

Zbiegały się potoki czarne z łożysk pobocznic.
Z wszystkich wylotów ulic, z zaułków, z su-
teryn, z rysztoków, z piwnic, barlogów, z odwiecz-
nych siedlisk krzywdy, bezprawia, nędzy, głodu.

— Tysiące, tysiące...

Nad miastem czarna burza grozy — pioruna-
mi groźb tryskająca...

We wrzawie głowy, głowy, głowy, jedna przy
drugiej, to czarne, zdeptane miljonem butów gła-
zy bruków ruszyły się i idą — idą w płomienie,
łuny, pożary.

Cała ziemia drgnęła i idzie w przyszłość...

Bruk bębniem, łoskot kroków taktem marsza.

Stukot kroków zaborycznych echem w niebio-
sach się odbijał...

Szli wszyscy —

— Nędzarze — Łachmaniarze

— Dranie społeczne wypłute na ulicę przez
cuchnące kryminaly praw.

Spojrzenie mające moc płomieni rozpalają-
cych pożogę.

Groźby jak młoty burzące świat.

Każda lza błyskawicą.

Każde przekleństwo piorunem.

— — — — —

Naprzód! — Naprzód!

— — — — —

Szli... Szli... od zarania wieczystej nocy wy-
zysku, po głazach walki, w czarnych oparach —
do świtu nowego dnia A ten — a ten

na niebie jutrzejszych dni
zorzę wiary purpurzył się.

Krzyk jak wybuch lawy z wulkanu na szkar-
łat niebios

— Gore świat — Gore życie.

A śpiew jak luna nad płonącym sercem.

— Pieśń zemsty.

— Pomsta naszą sprawiedliwością.

